1847. Nr 24. d. 20 Sierpnia ROK 6.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Treść przedmiotów: Kilka wspomnień z życia poety, przez Teodozyusza Krzywickiego. — Treść Rzymu w pierwszym okresie. (Ciąg dalszy), przez R. Swierzbieńskiego. — *Kronika piśmiennicza polska:* Grammatyka polska Teodozego Sierocińskiego, (krytyka p. K.). — Nowiny.

TREŚĆ RZYMU

W PIERWSZYM OKRESIE.

(Dalszy ciąg.)

Po przedstawieniu stopniowego rozwoju podmiotu pospolitéj rzymskiéj, bliżéj się nad nim zastanowić wypada. Obywatelem rzymskim w pierwszym okresie, jak już wspomniałem, nie jest jednostka, ten lub ów Rzymianin, ale ród, kurya i tryba. Pierwsze są podrzędne, a ostatnia główną: bo w Rzymie główną rolę odgrywają Ramnes, Tities i Luceres; drugą kurye i rody. Ale ani pierwsze, ani drugie nie występują same przez się: Ramnes, obleczeni są w swego Romulusa; Tities, w Tatiusza; a Luceres, w Lukumona; kurye także i rody oddzielne, mają swoich własnych przedstawców. Z tego to właśnie powodu obywatele rzymscy obecni nie są osobami, ale wsobami, jako w przedstawców wsobistnione. Każda tryba zawiera w sobie dziesięć kuryj, i każda z nich występuje w trybie jako jednostka; a każda znowu kurya rozpada się na dziesięć rodów—gentes. Rody nie nikną w kuryi; kurye w trybie; a tryby w pospolitéj: istnieją prawie od sie-

bie niezależnie; i stosunek ich między sobą i z gminą nieustalony, nie rozwinięty; tu jest chaos z którego z czasem może się rozwinąć życie. Pospolita, tryby, kurye, i rody są to *patrye*, są to patrycyusze rzeczywiści: z tego właśnie powodu i podmioty ich, i członkowie też składający, zwą się także patrycyuszami. Przedstawcy rodów, kuryj i tryb, są to Patrycyuszowie w najwyższém znaczeniu tego słowa, i dla tego senat rzymski zowie się Patres mianowicie; a członkowie kuryj i rodów, są to Patrycyusze podrzędni, drugostopniowi; pomimo to Patrycyuszami rzeczywistymi są tryby, kurye i rody. Nazwa *patricii*, tak się utworzyła jak nazwa *cives*, gdyż tak pierwsza pochodzi od *patria*, jak druga od civitas: chociaż biorąc rzecz tę względnie, tak dobrze *patricii* pochodzą od *patria*, jak *patria* od *patricii*; bo rzeczywiście, patria i patricii, civitas i cives, wspólnie rozwijając się, wzajemnie od siebie pochodzą. Rozwój patricii zależy od rozwoju patria, i wzajemnie.

Słusznie patria jako res patrum uważają, chociaż pojęcie to pochodzi z czasów wyższego uspołecznienia; a obecnie patres i patria byli własnością pana pospolitéj, Romulo-Kwiryna, bóstwa gminę przedstawiającego. To samo można powiedzieć o wywodzie nazwy *patria* od *patriam ciere*—ojczyzną zawiadywać.

Cyncyusz, którego znamy z wyciągów Festa, pod mianem patricios, mówi: „*wszyscy ludzie wolno urodzeni, są patrycyuszami.*" W tym periodzie nietylko, jak sądzi Niebuhr, było wielu, a owszem wszyscy klienci są wolno urodzeni; żadna emancypacya miejsca mieć nie mogła; i dla tego właśnie podanie o Windykcie, odnosi się do czasów późniejszych. Czyż więc i klienci byli Patrycyuszami? Uważając ich bezwzględnie, odpowiadamy twierdząco:—tak. Oni stanowią, nietylko w tym okresie, ale i w następnym, to z rodem patrycyuszowym, to z samymi patrycyuszami ścisłą jednię; i są wraz z tymiż antytezą plebeizmu. Plebejusze składają przedmiot gminy: a Patrycyusze z klientami swymi, podmiot. W rzeczy saméj, jeżeli Patrycyuszów, jako podmiot, pod rozwagę weźmiemy, to pod tém mianem zbiorowém stoją i klienci. Dla czegóż oni mają własną nazwę *clientes?* Jeżeli Patrycyuszów nie w gminie, a w trybie, w kuryi, rodzie i rodzinie oceniać zechcemy, to klienci tu wystąpią od patrycyuszów oddzieleni, różni;

i nie są podmiotem, ale przedmiotem. Pod tym więc względem podobni są do Plebejuszów—także przedmiotu gminy;—i dla tego właśnie mają oddzielną nazwę. Oni posłuszni są, tak jak każdy przedmiot, i zależni od rodziny, rodu, ich patronem będącego; i ztąd od *clio* zwą się klientami. Położenie klienta w rodzinie, jakie on ma znaczenie w gminie wskazuje: i wzajemnie znaczenie jego w gminie, wpływa na położenie w rodzinie: oba te stany klienteli wzajemnie na sobie się wspierają, i są współtwierdzącemi. Z tego wprost wypływa: że klient jest plebejuszem rodziny, a Patrycyuszem pospolitéj rzymskiéj: Plebejusz zaś przeciwnie jest klientem pospolitéj; a patrycyuszem we własnéj rodzinie: słowem klient jest plebejuszem rodziny patrońskiéj, t. j. będącéj jego patronem,—a Plebejusz klientem pospolitéj. Tak to w periodzie wsobistym stany i stosunki są nierozwinięte; jest to kraina substancyi.

W każdéj gminie, jako przez zawojowanie zrodzonéj, przy samém jéj poczęciu się, pierwiastek dawny, podbity, i nowo przybywający, kształci się w gminę zależną, własnéj *potestatis* pozbawioną, w plebeizm: zdobywcy zaś z pierwiastkiem jedno-plemiennym do rodów przybywającym, stanowią podmiot nowéj pospolitéj. Z czasem gminy zależne z przedmiotu, także stają się podmiotem; plebejusze zostają patrycyuszami: oto więc Plebs jest patrycyatem in potentia.

W Rzymie wszyscy wolno urodzeni są patrycyuszami, i Rzym trybowy, jako oddzielne tryby uważany, składa się z patrycyuszów i niewolników. Cóż znaczą Cyncyuszowi *ingenii* i libertini? Czy możemy się zgodzić na objaśnienie Niebuhra utrzymującego: że wtenczas stosunek Patrycyuszów do innych Rzymian i klientów był taki, jak, za czasów Cyrcyusza, urodzonych do wyzwoleńców? Rzeczywiście, czego nawet Niebuhr nie przeczuwał, klient w rodzinie patrycyuszowéj nie był to ingenuus. Mogli oni, w rodzinie, rodzie, kuryi i trybie uważani, do patrycyuszów to powiedziéć, co wyrzekł Plebejusz w gminie:—„*Zawsze nam powtarzacie, że w waszych ręku mogą tylko być auspicia, że wy sami tylko rody macie*;—jakoby po naszemu jesteście urodzonymi—*i do was tylko może prawnie należéć władza, tak w domu, jak i na wojnie.*" *) Klienci, nawet i w późniéj-

*) Liv. X, 8.

szych czasach, nie mogli sprawiać ofiar bóstwom rodowym, jak o tém podanie o zemście Herkulesa przekonywa. Bez wątpienia, klienci w obliczu rodziny, patronem ich będącéj, nie byli to urodzeni—ingenui. Sami Patrycyuszowie, w ścisłém znaczeniu téj nazwy, są urodzonymi: dla tego mówią o nich, *vos solos gentes habere*. Przeciwnie plebejusze nie mają rodów gminnych, przez gminę uznanych:—„*Plebs dicitur in qua gentes civium patriciae non insunt.*" Prawnie, tylko z patrycuszowych rodów, mogą być wybierani konsulowie; a ztąd wyrażenie,—vir patriciae gentis. Sami patrycyusze są rzeczywiści *ingeniu* i *gentiles*. Przeto wyrażenie Cyrcyusza, nie względnie, ale bezwarunkowo przypada do ówczesnego położenia w Rzymie, klientów i plebsu.

Zastanawiającemu się nad podmiotem nastręcza się to pytanie: czy mogło być aż trzysta rodów patrycyuszowych w małéj pospolitéj rzymskiéj?—i dla czego dostojeństwa są przynależytością tylko kilku z nich? Kwestye te rzucone i rozwiązane, inaczéj pojmuję,—i tak co do pierwszéj:

Nie od razu trzy tryby stanowiły i złożyły podmiot pospolitéj, przeto on naprzód składał się ze stu, następnie dwustu, a w końcu tylko z trzystu rodów. Daléj, Rzym był ogniskiem, stolicą—nie w nowszém znaczeniu—Etruryi; miał zwierzchnictwo nad Lacium i podbitemi pospolitemi związku albańskiego. Między Etruryą i Rzymem, a następnie z Lacium istniały stosunki *równogminności*, jak to opiewa podanie o Celiuszu, Masternie, Wiwenie i obu Lukumonach.—Lukumo drugi przybywa do Rzymu z żoną, z synowcem Egeriuszem i całym swoim rodem, tak jak następnie z Samnium gens Klaudyuszowa. Porsenna obszedł się z Rzymem jak pobratymczym grodem i niedobitki etruskie zakładają *tuscum vicum*. Jeżeli i inne stosunki Rzymu ówczesnego z Etruryą, na pamięć przywiedziemy, i zastanowimy się nad jego znaczeniem, to na braterstwo z Etruryą zgodzimy się: i jak późniéj istniał izopolityzm z Latynami i Hernikami, tak obecnie istnieje z Etruryą. Rody patrycyuszowe, lukumońskie pobratymczych grodów: Ceres, Tarkwinii i t. p... miały obywatelstwo w Rzymie, i do rodów, kurye i tryby wchodziły. Można nawet przypuścić, że tryba ticijeńska miała

*) Liv III, 72.

w sobie bratnie rody sabińskie, a lucerska albańsko-latyńskie. To zarazem objaśnia dla czego w trybie było tylko sto, a nie mniéj, ani więcéj gentes. Jeśliby wszystkie rody mieszkały w Rzymie, to trudno wystawić tak stałą i okrągłą ich ilość; a trudność ta znika skoro przyjmiemy udział rodów innogminnych: bo tu jest możliwość ograniczenia w przyjmowaniu, a zatém stałego utrzymania liczb panujących. To zarażem objaśnia dla czego zawsze ilość rodów była w trybie i w kuryach zupełna, kompletna: gdyż daje możność dopełniania, bez czego ona byłaby niepodobną. Rzeczywiście jeśliby rody gmin pobratymczych, nie wchodziły do tryb rzymskich, to czémby zastępowano rody gasnące? Bezwątpienia do Ramnes nie mogły wchodzić uszlachcone rody z Plebejów jako niewierne,—toż można wyrzec i o innych trybach.

Dzieje rzymskie nie stoją nawet z tém przypuszczeniem w sprzeczności: Romulus sam czyni patrycyuszami Ramnes, wraz z Taciuszem, Ticijensów; Hostyliusz, Lucerów; a w końcu Tarkwiniusz starszy niby liczbę ich podwaja, to jest wyraża dopełnianie się tryb, i zaginięcie ich; a zastąpienie, podziału dawnego, przez sześć centuryj— sex suffragia.

Ten izopolityzm objaśnia jakim sposobem tryby się dopełniały. Po zerwaniu stosunków z Etruryą, co nastąpiło za Tarkwinijusza starego, jako Lucera, a nie Lukumona, Ramnes tracili dawne swoje znaczenie, a nawet Ticijensowie ulegli pod przemocą Lucerów, z Latynami związanych. Z tego powodu liczba ich rodów została z ⅔ do ½ zmniejszoną; a przemożni Luceres, wraz ze swymi izopolitami, złożyli drugą połowę podmiotu, i ztąd nowy podział na ojców mniejszych i większych rodów. Panowanie Serwiusza Tulliusza, a mianowicie wojny z Porsenną, dały władzę dawniejszéj arystokracyi, i ojcowie mniejszych rodów, całego jéj wpływu na sobie doświadczyli. To usuwa inne trudności i przypuszczenie moje stając się rzeczywistością, objaśnia jakim sposobem w murach jednego niehandlowego i słabego grodu, występowało trzysta samych patrycyuszowych rodów; i dla czego ilość ta była stała i możebna.

Ztąd zarazem okazuje się dla czego dostojeństwa były przynależytością tylko kilku rodów: Gentes gmin pobratymczych lubo i miały

w Rzymie obywatelstwo, lecz jako tu niemieszkające, były de facto w używaniu praw ograniczone: prawa małżeństw i commercii mogli w pełni używać; ale prawa pospolite głosu i dostojeństw; przeto prawo miecza—jus gladii—z powodu odległości miejsca częstokroć było niemożliwe. Ten powód *faktyczny*, jako wszelki fakt, z czasem musiał się zamienić w *prawo: że tylko gentes w Rzymie osiedlone, mogą w zupełności praw pospolitych używać.* Rzeczywiście na czele dziesięciu kuryi, stoi dziesięć przewodniczących gentes; i one to przedstawiają całą trybę: co szczególniéj widoczne jest na trybie pierwszéj i drugiéj; w trzeciéj zaś z powodu rozwiązania się tryb i wystąpienia rodów jako większych i mniejszych, to stało się niepostrzegalném. Te dziesięć głównych gentes stanowią przewodnictwo na wiecach kuryalnych, i składają dekurye senatu; a głowy ich przedstawiają się jako *decem primi*, *interreges* i *decemvirowie.* Do nich to należą dostojeństwa: ale w każdéj trybie panującéj jeden gens jest *trybowy*, królewski, a późniéj pretorski;—co wyraźnie daje się spostrzegać naprzód, na Tarkwiniuszowym, a następnie Waleryuszowym i Fabiuszowym rodach, jeśli o Klaudyuszach zamilczymy. Tak objaśniliśmy to zjawisko dziejów rzymskich:—iż tylko pewne rody stoją w świetle wtenczas, gdy inne pogrążone w cieniu.

Jedna instytucya rzymska wspiera się na drugiéj: skład tryb, natura rodów, objaśniają powyższe trudności; i zarazem pokazują jak uważać potrzeba reges rzymskich i innych dostojników: ale wzajemnie rozwiązanie tych kwestyj, wskazuje czém są owe tryby, kurye i rody. Przeto jak w każdém uspołecznieniu, tak i w Rzymie członki i organa są ściśle ze sobą spojone; poznanie jednego, przedstawia nam stan rzeczywisty pozostałych, i wzajemnie: lecz do téj znajomości prowadzi tylko myśl ludzki, zarówno w człowieku, jak w ludzkości i dziejach utajony.

Dla pojęcia podmiotu rzymskiego nie potrzeba uciekać się do arystokracyi innych ludów: Aten, Niemiec, Wenecyi lub Norwegii; taka droga, jako uboczna, jest obłędna: arystokracyi rzymskiéj szukajmy w samym Rzymie, i dopiéro po poznaniu jéj, dla utworzenia ogólnego pojęcia, porównajmy z obcą, z ogólną. Jeżeli na zapytanie: dla czego na czele tryby i kuryi stoją tylko pewne gentes? odpowiemy: że w ka-

żdéj arystokracyi panują tylko pewne świetne rodziny, wtenczas kiedy inne, stanowiące większość, z tłumu nie występują; to odpowiedź taka będzie powierzchowną i zrodzi drugie pytanie:—dla czegóż to stanowi charakter całéj arystokracyi? Pańskość, tak jak inne członia uspołecznienia ludzkiego, rozwija się, i ztąd pańskość rodowa—arystokracya, pańskość bogactw, tymokracya, i zdolności—novi homines: przeto zasada pańskości zmienia się. Ówczesna arystokracya rzymska, tak jak cały Rzym, stała na podstawie wsobistéj, teokratycznéj, była teokracyą. Tryba Ramneńska jest pierwsza jako dziecię Marsa; tycijeńska musiała być drugą, bo Mars został Kwirynem, jako rodzic założycieli Romy i Kwirynu. Z tegoż powodu ród Jullusów był pierwszym, gdyż pochodził od syna Eneaszowego. Jak tryby, tak i rody bliżéj, lub odległéj z bóstwem, panem pospolitéj połączone, zajęły stałe stopnie. Prawda ta nie może być w małym zakresie obszerniéj popiéraną, tém bardziéj, że sama przez się jest widoczną.

Oto, jak w rodzie była rodzina sercowa, tak w pospolitéj tryba; w trybie, kurya; w kuryi, ród; a w senacie, dekurya: co wszystko ma swą zasadę w naturze teokratycznego, wsobistego uspołecznienia Rzymu. Dla tego rodów, rodzin rzymskich nie potrzeba mieszać z podobnémi członiami średniowiecznego uspołecznienia; ani arystokracyi rzymskiéj, z niemiecką lub wenecką.

W końcu, do następującego pojęcia o podmiocie pospolitéj obywatelskiéj, rzymskiéj, w pierwszym okresie jéj życia, przychodzimy:

Nie wszystkie rodziny w gens, a owszem jedna tylko była zupełnym podmiotem i ona dawała swego członka do senatu; w kuryi zaś cały ród miał udział. Nie wszystkie gentes w kuryi były sobie równe i ród naczelniczy, miejscowy, dawał członka do dziesięciu pierwszych, międzykrólów, w senacie. Podobnie i w trybie ród jeden był trybowym, z niego wychodzili reges, *custos-urbis* i pierwszy senator. Przez to między samemi rodami jest pewna różnica. Kurye nie są sobie równe, bo ta, któréj odpowiadała najstarsza dekurya senatu, i w któréj był ród królewski, musiała być od innych starszą, świętszą.

Starszeństwo tryb niepodpada nawet wątpliwości. Ramnes, dziecie ulubione Marsa, jest prawdziwym podmiotem przedwiecznego grodu; oni sami mają prawdziwe wieca, senat i dostojników; z pomiędzy

nich wybiera się rex—Romulus, Hostyliusz,—custos urbis—Romilius, oni mają interreges, to jest dziesięciu pierwszych—którzy po wniebowzięciu Romulusa świętą gminą rządzą. Ramnes, a nie Ticies wybierają Numę, i ich uosobieniem jest Romulus, rodzic grodu.

Tities po nich następują;—wybór Tatiusa i Numy jest wyrazem przypuszczenia ich do uczestnictwa braterskiego. Połączenie jednak nie prędko nastąpiło, gdyż za panowania Numy, Janus, spójnia dwóch pospolitych, ciągle zamknięty i tylko pod panowaniem Hostyliusza występują te dwie tryby w formule, a przeto i w życiu pospolitém, złączone. Populus Romanus et Quirites, są to dwa przeciwne bieguny, męskiéj i żeńskiéj elektryczności; Quirites są antytezą Ramnes, jak późniéj Plebeje: mimo to, zbliżenie się ich i połączenie spójnikiem et, oznacza wzajemne uznanie; Ramnes są jakoby ojcowie, a Kwiryci, matrony w pospolitém dwóch grodów małżeństwie; jest to fakt, którego odbicie powieść o porwanych Sabinach stanowi.

Niezaprzeczoną podrzędność drugiéj tryby okazuje sama ich nazwa *Quirites*, późniéj Plebejuszom nadawana. Nie mają oni własnego króla, bo Numa nie jest ich królem jako przez Ramnes, veteres Romani, wybierany; nie mają własnego senatu gminnego, ani zastępców króla—custos-urbis; bo takim jest za Romulusa Dentrus Romulius, a po nim Proculus Julius, co zarazem pierwszeństwa tego rodu dowodzi: gdyż ten przed zebranym senatem mówi o objawieniu się Romulusa.*) Tities dostąpili równości i o tém przekonywają podania o królach rzymskich z ich tryby pochodzących; i o Numie Marciuszu zastępcy króla Hostyliusza.**) Oni to, po przybyciu Lucerów, razem z pierwszą trybą przybrali nazwę Patres majorum gentium.***) Zjednoczenie się Ramnes z Ticijensami, przedstawia powieść o staniu się Romulusa Kwirynem i oddawaniu mu czci boskiéj na Kwirynalu.

Luceres zalewie przy końcu tego periodu, dostąpili praw obywatelstwa; gdyż ani Romulus, ani Numa, ani Tullus Hostyliusz, ani Ankus Marcius nie pochodzą z Lucerów. Imie ich nie stoi w formule wy-

*) Liv. I. 16.

**) Tacit Ann. VI. 11.

***) Cic de re pub. II. 20, antiquos patres majorum gentium appellavit..., a se ad scitos , mino rum.

rażającéj pospólstwo rzymskie, a są tu tylko Ramnes i Kwiryni—to jest Tities, od bóstwa swego Kwiryna tak nazwani. Luceres są to mieszkańcy Celium grodu do związku albańskiego należącego. Hostyliusz zdobywca Alby, do Rzymu ich wprowadza, przyrzeka dać obywatelstwo i z pomiędzy nich dziesięć *turm* jezdców wybiera. Tarkwiniusz stary pochodzi z téj tryby i patrycyuszów jéj czyni patrycyuszami rzymskimi; albowiem podług Cycerona,*) on przed przeprowadzeniem prawa kuryalnego co do swéj władzy, liczbę patrycyuszów podwoił. Dzieje ich są także z Romulusem i Lukumonem połączone: gdyż pierwszy trzy centurye jezdców—Ramnes, Tities i Luceres—ustanowił, i ostatnią tak od imienia Lukumona nazwał. Dla tego nie podpada wątpliwości, że oni są trzecią trybą w porządku starszeństwa; że przedstawcą ich, uosobieniem stania się podmiotem jest Hostyliusz i za niego oni, to jest z początku, zowią się Lucerami. Tarkwiniusz przypuszcza inne jeszcze rody albańskie, i z Lucerów czyni ojców mniejszych rodów. Romulus jako twórca Rzymu jest ojcem i twórcą Lucerów, z Lukumonem przez podobieństwo nazwy, mylnie zmieszanych. Dla téj to przyczyny i Stary jako król lucerski jest wzięty za Lukumona; dla tego w końcu Lukumo przezwany został Celiuszem, gdyż Lucerowie mieszkali na górze Celium;—o czém obszerniéj późniéj powiemy.

Nazwa Luceres dla tego się w formule nie przechowała, że oni zostali przemienieni w patres minorum gentium; i wtenczas kiedy Ticijuszowie stali się podmiotem, oni ich miejsce zastępując, musieli się zwać, jak późniéj Plebejuszowie, Kwirytami; a w końcu i ten jest powód, że zlawszy się z dwoma innémi trybami, przybrali nazwę Rzymian—populus Romanus. Ale oni długo, jako Luceres istnieli; inaczéj pocóżby Romulus trzy centurye jezdców stanowił?—i na coby trzecia centurya zwała się Lucerską?

Dalszy ich rozwój nie należy do tego okresu.

Każda tryba, kurya i ród ma własną ziemię i jest tą zawarowany; przeto między trybami, kuryami i rodami, i pod tym względem istnieje rozdział. Ani gentes, ani kurye, ani w końcu tryby nie mogą się ze sobą łączyć i jednoczyć; nie ma między niemi wspólności praw ludzkich i boskich. Jednostki leżą nie rozwinięte w rodzinie; rodziny w rodzie, rody w kuryi, a kurye w trybie. Słowem w periodzie pierwszym podmiot jest nierozwinięty, i widać na nim ślady kastycyzmu; z tego powodu szkoła filozoficzna niemiecka, Etrusków za ojców Rzymu uważa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Miejsce przywiedzione.

KILKA WSPOMNIEŃ Z ŻYCIA POETY.

Niedawno szperając w tece mego przyjaciela znalazłem pismo, na którém ręką jego napisane słowa: „*Kilka wspomnień przeszłości.*" zachęciły mnie do przejrzenia go i odczytania. Mój przyjaciel był poetą. Przeczytałem jego *wspomnienia* pomięszane i naraz zapewne w chwili gwałtownego smutku albo w zwyczajnym napadzie melancholii spisane;—potém takim porządkiem, jakim cisnęły się do głowy mojéj, o ile wierna pamięć mi pozwoliła, nic nie przekształcając spisałem je, tak, jak one przez niego skreślone były.—

WSPOMNIENIA.

Święć się, święć się wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody.

B. Z.

Młodość! wiosna! kwiaty!... sny szczęścia i miłości.... Oto ideały, ideały!—A wy wierzycie w nie pókiście młodzi, bo wtenczas świat uśmiecha się do was, i łudzi rozkoszną ponętą szczęścia i miłości.

I ja sięgałem po te kwiaty, i ja wierzyłem, kochałem, byłem młody!

Byłem!—Czyż to już przeszło? wszakże brzemie lat nie cięży jeszcze na méj głowie, nie pochyliło mnie ku ziemi, nie pokryło zmarszczkami czoła;—młody jestem jeszcze, młody!.. a przecież przeżyłem

wszystko, poznałem wszystko; i nigdzie—nigdzie ani jednéj kropli z tego słodkiego nektaru szczęścia i rozkoszy dla mnie; wychyliłem czarę życia aż do dna, łzy i męty zostały na spodzie, piłem tylko gorycz żywota!

A przecież cię kocham młodości moja! za twoją wiarę, za twe sny, marzenia, ideały, za kwiaty, któremi tak ponętnie łudzisz niedoświadczonego pielgrzyma, gdy pierwszy krok stawia na téj wielkiéj drodze życia. — Kocham cię młodości moja, za tę siłę poświęceń, jaką wlewasz w serce, jaką uzbrajasz duszę niby wielkiemi skrzydłami do orlego lotu, uszlachetniasz ją miłością obejmującą świat cały.

Ale czyż wy wiecie co to jest młodość, co to jest wiara w szczęście, co to są poświęcenia?

Kochałem ludzi i wierzyłem im.—Ze wszystkich darów rzuconych w duszę człowieka hojną wielkiego Stwórcy dłonią, najdroższym jest ta wiara, po niéj nadzieja, która aż do grobowéj deski łudzi nas i zawodzi, a my cierpiąc nawet, uśmiechamy się do niéj, bo jakież byłoby życie człowieka bez niéj?

Młodość moja płynęła cicho, jak srebrny strumień po zielonéj dolinie; niekiedy tylko zdaleka burze zbierały się nademną, i piorun zahuczał, i niejeden grot cierpienia przeszył serce, aż zabolało... i po jedném westchnieniu, po jednéj łzie minęło wszystko, bom jeszcze wierzył w przyszłość, bom dzieckiem jeszcze, skrzydłem z kołyski wyłamaném, latał po tém niebie marzenia gdzie tak jasno, tak pięknie, tak widno, pogodnie; gdzie myślą rozmawiając z Bogiem błagałem go o dobro ludzkości, bliźnich moich; gdyż ich szczęście bliżéj mnie dotykało niżeli własne, bom ich ukochał więcéj niż siebie, całą serca i duszy miłością.

Nie wiecie do jakich poświęceń zdolna jest dusza szlachetna, gdy boska młodość opromieni czoło, i błyśnie duszy myślą gdzieś w niebie poczętą, myślą jaką Zbawiciel pozostawił wyrytą na krzyżu—miłości bliźniego.—O! wtenczas każdą łzę jego, gdyby mógł krwi własnéj kroplą zastąpić, wytoczyłby ją wszystką aż do ostatniéj.

I já kochałem bliźnich moich, a ludzkość była mi matką, siostrą, kochanką, rodziną! ukochałem ją z całym zapałem młodości, z całém poświęceniem syna, brata, kochanka, dla niéj byłbym zapomniał o wszystkiém w świecie.

Nie pojmiecie jakie myśli przychodziły mi nieraz do głowy, patrząc w oblicze ukrzyżowanego Chrystusa,—padając na kolana zalewałem się łzami, a myśl promienna odstrzelona od krzyża zbawienia, głęboko zaszczepiona w méj duszy, paliła ją płomieniem niezgaszonym.

Nieraz, ach nieraz! srogie cierpienia dotknęły i mnie samego, niejedna łza żalu zmoczyła moje powieki; ale tchnienie wiosny-młodości ożywiające wszystko, zwiało je prędzéj, niż wypaliły bolesne ślady na wybladłém licu, niż zastygły na niém niestartém piętnem cierpienia, kreśląc zmarszczki, w którychby każdy mógł czytać bolesną powieść przeszłości.

Nieraz i ludzie sami zakrwawili mi serce, a ja kochałem ich i wierzyłem jeszcze, kochałem całą siłą mej duszy niepozwalającą przejrzéć aż do spodu ich serca, w tę otchłań tylu uczuć różnorodnych, w których zawsze jednak dobre przemaga; bo żadna moc nie zdoła zatrzeć tych słów, które Bóg przy stworzeniu wyrył na sercu człowieka; uczuć, które i my przejęliśmy od pierwszych rodziców naszych, nie rozdrobnione długich lat koleją, w téj saméj sile; nie zdoła zagłuszyć głosu mówiącego człowiekowi w chwili szlachetniejszego natchnienia: „*każdy bliźni jest twoim bratem*, *powinieneś go miłować i dobrze mu czynić.*"

Te słowa są podstawą nauki Zbawiciela, one nie pozwolą człowiekowi stać się złym zupełnie. Zdarzają się wyrodni, zbrodniarze nawet; ale to są chwilowe popędy obłąkania, rozbudzone głosem niestłumionych namiętności, którym zbyt słabi oprzéć się nie mogą lub nie starają; lecz i ci także miewają chwile upamiętania, kiedy sumienie przebudzi się i wyrzuca im głośno ich czyny.—Człowiek jest tylko ułomnym, ale nigdy złym zupełnie. Nie wierzę temu, choć wiele wycierpiałem od ludzi, bo bez téj wiary, jakżeby mi ciężko żyć było!

Gdybym chciał wywoływać na pamięć wszystkie wspomnienia młodości, wszystkie opisać cierpienia i bóle, które przeszyły moje serce, od dnia kiedym pierwszy krok stawił na drodze życia, o własnéj sile idąc:—pismo moje, któremu nadałem tytuł *Pamiętnika*, stałoby się długą i nudną jeremiadą, wylewem żalu, monotonną pieśnią smutku, rozpaczy, wspomnieniem ciężkich zawiedzeń, cięższéj jeszcze obojętności ludzi.

Ale ani słowa, ani jednéj skargi przeciw nim! wolę cierpieć w skrytości mojéj; lecz świat się nie dowie, ile od nich wycierpiałem. Z resztą nie piszę dla tego, aby się kto użalił nademną, bo litość jak kamień grobowy ciężyłaby mi na sercu, paliła straszliwiéj, niż te łzy, co w téj chwili tajemnie i skrycie, a mimowoli wypływają na blade lica moje.

O! jeszcze nie straciłem wszystkiego, jeszcze nie jestem zupełnie nieszczęśliwym, kiedy mogę płakać! łzy te jak perły przed tron Boga anioł litości zaniesie, a Bóg widząc cierpienia moje, widząc, że bez szemrania już dawno znoszę krzyż mego życia, może mi prędzéj pozwoli dojść do tego kresu, gdzie wszystko się kończy dawne a nowe rozpoczyna.

Młodość moję spędziłem w domu obcym, spędziłem samotnie w łzach i tęsknocie, oddalony od matki i rodziny. Dziecko jeszcze—już czułem, że w duszy mojéj dzień po dniu nowy ogień się wzmacnia, nowych iskier przybywa,— czułem, że już objął całą moją istotę, i palił serce niezgaszoném żarzewiem. I bałem się o siebie wtedy, żeby nie pękło serce pod natłokiem tylu uczuć, których nie miałem nawet komu powierzyć; musiałem szukać środka, nie żeby gasić ten płomień, który chyba z życiem się skończy, lecz dać mu inny kierunek, roztoczyć w koło siebie, przelać w piersi tych, z któremi żyłem, którzy mnie otaczali.

Niezrozumieli mnie! nazwali szaleńcem, marzycielem. — A ja jak dusza na wygnaniu byłem pomiędzy niemi, i wycierpiałem wszystkie bóle, które tylko serce człowieka dotknąć mogą, a tysiąc kolców raniło serce moje.

Szukałem jeszcze środka, i znalazłem go.—Uciekałem w lasy, całe dnie spędzając śród dumań, lub nad nauką, błądząc samotnie po rozległych kniejach z strzelbą na ramieniu, albo w pędzie na koniu przebiegając rozległe pola; nieraz bez żadnego przez dzień cały pokarmu; bo oddalałem się z domu o świcie, kiedy jeszcze wszyscy spali, powracałem dopiéro późno wieczorem.—Wtenczas strudzony całodziennem chodzeniem, dumaniem i walką, jaką toczyłem sam z sobą, rzucałem się na posłanie, i zasypiałem marząc o matce mojéj, braciach i siostrach, które daleko odemnie w innéj żyły stronie, które w owéj

chwili może tęskniły za mną. I wtedy przychodziło mi na myśl szczęście, jakiego doznawaliśmy niegdyś w latach dzieciństwa, gdy żył jeszcze nasz ojciec, kiedy w dostatnim bycie otoczeni tkliwą opieką czułéj, ukochanéj matki, staraniami dobrego ojca, słysząc z ust świętych rodziców naszych pierwsze zasady moralności i cnoty, zaszczepialiśmy w swéj duszy naukę miłości Boga i bliźniego.

O pomnę, pomnę te lata szczęścia! one jak dyamenty cudowną błyszczą światłością w męczeńskiéj koronie, którą całe życie nosiłem.— Lata radości i wesela ubiegłyście daleko, uleciałyście na wieki; przed oczyma memi roztoczyła się czarna zasłona żałoby, pod którą nic już widać nie było, tylko grób ojca i brata, którego nawet łzami mojemi oblać nie mogłem.—Matka jeszcze została mi tylko, brat i trzy siostrzyczki—trzy anioły pocieszyciele, strażniczki mojéj przyszłéj doli.

O matko moja, jeżeli kiedy czytać będziesz te wspomnienia mą ręką pisane; jeżeli zajrzysz przypadkiem do téj trumny umarłych pamiątek, ujrzysz naprzód, jak napis ryty na grobie, pisane słowa miłości synowskiéj dla ciebie, co w tém smutném życiu boleści nie jedną słodką kroplę wlałaś w kielich przeznaczony mi do wypicia, zostawiając dla siebie gorycz samą.—O! nie odejmę ust od tego kielicha, będę pił do ostatniéj kropli, obyś tylko ty była szczęśliwą!—Bluźnię, szczęśliwą!—wyraz szczęście! szyderstwem w mych ustach,—spokojną tylko, bylebyś nie cierpiała!... Jam już dawno przestał wierzyć w szczęście, wyraz ten powinienby być wymazanym z żywych słownika; modlić się o szczęście jest to prosić o śmierć, bo dopiéro za grobem spodziewać się go można.

A więc ta prawda, któréj szukamy, to szczęście, które gonimy z takim zapałem, byłożby omamieniem?

O! nie,—raz tylko w młodości promieni się ta gwiazda, ku któréj próżno potém przez życie całe wyciągamy dłonie. Raz tylko prawda odsłoni nam swoje lica; a jeżeli wtenczas odgadując cel życia nie staramy się go dosięgnąć, jeżeli opuścimy dłonie, zamiast żelaznem wiosłem piąć się daléj, aby nie utonąć, nie rozbić o skały kruchéj łodzi naszéj w wielkim oceanie życia, jeszcze wahać się będziemy, i uczuwszy raz przebudzony w duszy ów płomień Boży, który Pan przy stworzeniu wlał nam w piersi, pozwolimy mu stygnąć, gasnąć lub zginąć

nawet; biada! raz drugi ta mara szczęścia, (za którą całe życie gonim po bezdrożach, gotowi nawet skoczyć w przepaść, byleby ją doścignąć), nie zbliży się do nas więcéj; tylko z daleka pokaże ztrupieszałe lica, jak lica upiora; gdy zbudzony z grobu wspomnieniem dawnéj miłości, wychyli z pod trumny głowę, w któréj czaszce robak już obrał siedlisko, pijąc mózg co ożywiał może wielką istotę, rozlewał jasność w koło, promieniąc światłem nauki i geniuszu. Biada temu, kto raz utraciwszy wiarę w przyszłość, we wszystko, za czém młodość goni i czego żąda, jeszcze pragnie i jeszcze szuka czegoś w koło siebie.— Prawda raz tylko nam zaświeci, a dwa anioły miłości i przyjaźni raz tylko swe lica odsłonią, i podadzą rękę do uścisku.

Młodość, to jest owe cudowne koło zakreślone ręką potężnego czarodzieja, w które gdy wpadniesz, daremnie pragniesz cofnąć kroku, jak przykuty niewidomą mocą stoisz, lub obracać się musisz według woli tego, który cię zaczarował.—Nieraz jak Tantal widzisz przed sobą wielkie sady pełne owoców roskoszy, i strumienie, co łagodnie szemrząc, skrapiają zielone, umajone kwieciem doliny, wabiąc do spoczynku i ochłody, i nęcąc spragnione usta orzeźwiającym napojem miłości.—A ty daremnie jak zaklęty z czarodziejskiego koła wyciągasz ręce, aby spożyć te owoce rozkoszy, przytknąć usta do czary miłości, i nim jedna kropla boska ożywi twój język spieczony ogniem i pragnieniem; wszystko zniknie, jak przed oczami pielgrzyma na pustyni Sachary owe zwodne obrazy palm i cyprysów, co zdala łudząc oko, przynęcą do siebie, aby spoczął pod ich cieniem; a kiedy strudzony i upadający postąpi daléj, ujrzy tylko step wielki, niezmierzony, jak Bóg i wieczność.

Są też ludzie, którzy z chęcią obracają się jak kółka maszyny poruszanéj za pomocą sprężyn, i miło im, błogo w tém zaklętém kole; kręcą się, kręcą, aż jak derwisz pijany szałem, rozszaleni w tym ciągłym jednostajnym obrocie, spokojnie kładą głowę na poduszce śmierci, i zasypiają nie myśląc nawet, że człowiek nie powinien być kółkiem wielkiéj maszyny świata, lecz jedną ze sprężyn ją poruszających, że stanowi jedno ogniwo wielkiego łańcucha, które zardzewiawszy pęknięte, lubo nie rozrywa całego związku, ale jego moc osłabia i rozprzęga.

A przecież tacy może są szczęśliwi....

Szczęśliwi?—o nie, nigdy!—Pan Bóg stwarzając człowieka w duszę jego wlał część swéj boskości i tchnął podobieństwo obrazu swego; duszy przeznaczył szczęście, ciało jest tylko brudną pokrywą służącą do przechowania tego nieśmiertelnego światła, które jest cząstką niebieskiéj światłości. Ci więc, którzy żyją samém ciałem tylko, którzy ani razu myślą nie wzniosą się wyżéj, co pogrążeni w zmysłach życie uważają za koléj przeznaczoną dla każdego zwierzęcia nieobdarzonego rozumem i duszą nieśmiertelną, zasadzają szczęście na użyciu i zaspokojeniu namiętności ciała; ci niegodni dostąpić prawdziwego szczęścia, dla tych czemże będzie niebo, którego nieodgadli, nie pojęli duszą?

Pomnijcie myśl wielkiego poety prawie w tych słowach wyrażoną:

Bo posłuchajcie i zważcie u siebie,
Że według bożego rozkazu:
Kto nie był człowiekiem ni razu,
Ten nigdy nie będzie w niebie.

Znałem indiwidua niepojmujące tych słów wieszcza; z boleścią słuchałem zapytań o wytłomaczenie co znaczy: „Kto nie był człowiekiem?"—Ci właśnie pojęli życie, pojęli cel swój; u nich dusza była, jakby w jakim letargu, i budziła się tylko na brzęk widelców i noży. Ich życie—życiem roślin wegetujących na bagnisku i czerpiących soki swe z ziemi zgniłéj, stęchłéj; nigdy myślą nie wznieśli się wyżéj nad powierzchnię półmiska.

Jakże daleko odstąpiłem od powieści życia mego, zapuszczając się w badania i objaśniając prawdy nie doświadczeniem nabyte, bo jeszcze zbyt młody jestem, choć wielkie przeszedłem koleje; ale odgadnione, przeczute duszą, myślą, co jak skrzydło wypuszczonego z klatki sokoła, czasu i przestrzeni sidła przecina, pogrążając się daleko... daleko,—gdzie oko nie każdego dojrzy człowieka.

Lata moje ciekły smutno, powoli, jak ciężki bolesny sen przyciskający duszę, z którego daremnie zbudzić się chcemy.

Nieszczęście i samotność wyrodziły w méj duszy poezyą. W dumaniach błąkając się śród pustych lasów, polubiłem ową samotność, która tak prędko znęci nieszczęśliwego, choć nie zawsze wlewa balsam

uzdrawiający rany zbolałego serca.—Powoli stałem się samotnikiem, odludkiem, marzycielem.

Mój Boże!—w 16tym roku życia już unikać ludzi, bać się ich, kochać a stronić od nich,—w 16tym roku przeczuć i odgadnąć wszystko nie przeżyte, niedoświadczone jeszcze, ich samolubstwo, ich obojętność, obłudę.

Dawno już byłem poetą w duszy nie wiedząc o tém. Często bez przyczyny, w chwilach nawet pogodniejszych jeszcze życia mego, smutek obejmował moją duszę, ściskał ją, tłoczył.—Lubiłem samotność, dumanie, muzykę.—Śpiew ptasząt wzruszał mnie, a urok wiosny, blask poranku, wschód słońca, łoskot burzy upajał i zachwycał; unosiłem się nad pięknością natury, odgadując wielkość Tego, który to wszystko stworzył.—Muzyka wyciskała łzy z moich oczu, lubiłem tylko smutną. Na widok tańczących w najweselszéj nawet chwili żal przeszywał moje serce, uciekałem;—i znowu gniew ogarniał mnie, gdy mniemano, że nie tańczę dla tego, że nie umiem. Sprobowałem, tańczyłem—poklaskiwano mi!.. Rozszalony prawie rozkoszą tańca biegłem, biegłem coraz daléj, obracając się jakby w zaczarowaném kole, uniesiony wirem walca, cisnąc chłodną dłonią gorącą rękę mojéj tancerki... byłem szaleńcem, tańczyłem,—oni mi poklaskiwali!... Nagle duch ojca, brata stanął przed oczyma memi, i wszystkie widma przeszłości, wszystkie wspomnienia naraz uderzyły mą duszę, oblały serce palącém zarzewiem. Zakręciło mi się w głowie, wybiegłem z sali, świat jak pijany kołował się przedemną, a ja kręciłem się jeszcze, bez myśli, nieprzytomny, uderzając ręką, piersią otaczające mnie przedmioty.... Byłem w ogrodzie, przy mnie stały drzewa jak skielety, odarte z liści, pokryte szronem, jak upiory w białych sukniach wyciągające swe dłonie, aby mnie pochwycić.... Myślałem że oszaleję. Oni wołali na mnie: „tańcuj!” Kręciłem się znowu, potém upadłem; mroźne powietrze nocy owiało piersi moje odkryte, ocuciłem się, i poczułem łzy przymarzłe do powiek moich teraz powoli na twarz płynące;—przypomniałem znowu wszystko, moją przeszłość, smutki, boleści, straty... postać ojca i brata na promieniu księżyca znowu przepłynęła przedemną; ból przeszył mi serce; słowa cisnęły się do ust, słowa rozpaczy, modlitwy za

ich dusze.— Wtém ktoś ujął moją rękę, zaprowadził mnie do sali, abym tańczył jeszcze....

Ha, ha!.. roześmiałem się tylko, nie będę już tańczył nigdy, nigdy... czy wiecie, przekląłem taniec!— Dopełniłem mojéj przysięgi, nie tańczyłem już nigdy; ja—tak młody!... nazwali mnie szaleńcem, samotnikiem, odludkiem; bo nie tańczę, bo mi nie wesoło w duszy, bo się śmiać nie umiem, bo unikam ludzi, aby ich nie zarażać smutkiem moim, którego tchnienie upadłszy na ich serca, zatrułoby im może na całe życie radość, wesele.

Dzieckiem będąc i chłopcem już nawet, lękałem się bardzo łoskotu burzy, piorunów, błyskawic.—Pewnego dnia śród lasu, samotnego i pogrążonego w dumaniu spotkała mnie burza; chmury z gwałtowną siłą toczyły się nad moją głową, piorun huczał rozdzierając chmur łono, i uderzył nawet w drzewo niedaleko mnie stojące. Dopiéro wtedy ocuciłem się z zadumania, ale nie zadrżałem wcale; jakiś nigdy przedtém nie pojęty dla mnie urok miała ta burza; przeżegnałem się tylko i ukląkłem pod drzewem, chroniąc się przed deszczem, nie zaś śmiercią, jakąby mi uderzenie piorunu zadać mogło.— Jakaś uroczysta cisza wstąpiła do duszy mojéj; pierwszy to raz tak mi było lekko, pełną piersią oddychałem powietrzem burzy; a błyskawice raz po raz krzyżujące się w różnych kierunkach po widnokręgu, wydawały mi się jak hieroglify pisane Stwórcy wielkiego dłonią, w nich czytałem jego moc i potęgę.

Lecz noc zbliżała się, a burza z coraz większą gwałtownością niosąc gromowe chmury, roztoczyła je nad moją głową, pokrywając niebo całunem; tylko blask błyskawic przyświecał mi powracającemu do domu.—Dla czegóż wpierw tak bardzo obawiając się burzy, teraz nie zadrżałem przed nią nawet, gdy piorun tuż przy nogach moich uderzył?--Byłem poetą!—czułem to, ach! bo mi źle tak było na świecie, bom zatęsknił nagle do innéj krainy, zkąd duszę moją Pan Bóg, jakby na długie wygnanie wysłał na tę ziemię łez i boleści.

Od dnia tego pilniéj zacząłem patrzeć w siebie, i dojrzałem w sercu mém na spodzie nieocenione skarby uczuć, które jakby woniejące kwiaty niezarażone tchnieniem zepsucia, słodkim powiewem obwiały

całą moją istotę, budząc w méj duszy zapał niezrównany z niczém, i rodząc w niéj boskie poezyi natchnienie.

O ileż razy błogosławiłem i opłakałem dar ten, który mi Bóg zesłał w boleści mojéj!

Kiedy młodość czarodziejską różczką dotknęła méj głowy, rozpromieniwszy w niéj światło poezyi, i obwiawszy tchnieniem zapału, uczułem dopiéro z całą siłą cierpienia jakich doznałem; a wspomnienie chwil pod obcym dachem bez pożytku dla siebie i ludzi spędzonych, raniąc moje serce, nowe mi dzień po dniu zadawało boleści.— Nie mogłem znieść ich dłużéj, porzuciłem dom, gdzie mi może z przychylności dano w dniach mego sieroctwa schronienie, a nowe życie trudu i pracy, nowy zawód zaczął się dla mnie.

Biada temu, kto raz utraciwszy wiarę w przyszłość, we wszystko za czém młodość goni i czego żąda, jeszcze pragnie i jeszcze szuka czegoś w koło siebie!... Prawda raz tylko nam zaświeci, a dwa anioły miłości i przyjaźni raz tylko swe lica odsłonią i podadzą rękę do uścisku.

Te słowa zabrzmiały znowu głośno w méj duszy. A ja wierzyłem jeszcze, wierzyłem we wszystko, w szczęście, przyjaźń, miłość.

Te dwa ostatnie i najświętsze dary boże dane człowiekowi dla umilenia samotnéj pielgrzymki doczesnéj, uważałem zawsze aż dotąd za jedyne, które pozwalają człowiekowi kosztować szczęścia w tém życiu, jakie tylko dalekiém odbiciem, podobieństwem jest tego, co nas czeka w przyszłości.

Dwa te drzewa sadzone ręką Boga, z których my biedni wygnańcy zrywamy owoce rozkoszy i słodyczy.—Dwa te drzewa zakwitły na drodze mego życia,—ku pierwszemu wyciągnąłem dłonie.

Przyjaźń, to dar, który ani w porównanie iść może z miłością kobiety.—Lecz jakże rzadko się zdarza przyjaźń taka, jaka przebudziła się w sercu mojém i w sercu Jana;—braterskie przywiązanie podwajało ją; zgodność naszych charakterów i usposobień, jeden sposób myślenia i zapatrywania się na rzeczy, jedna koléj doświadczeń, też same nieszczęścia, wspomnienia i nadzieje, wszystko to podniosło ją do tego stopnia, że chyba w grobie skończyć się może.

Mniemam, że jak przyjaźń budzi się pomiędzy osobami jednakowego charakteru i zgodnych temperamentów, tak miłość przeciwnie szuka jakiejś sprzeczności, różnych usposobień, i najczęściéj, a może najsilniejsza przedstawia się pomiędzy osobami wcale różniącemi się z sobą,—np. młodzieniec namiętny, gwałtowny, pokocha istotę czułą, łagodną; melancholik kobietę żywą i wesołą; ciemny brunet z ogorzałą twarzą i czarném okiem, anioła łagodności i dobroci, jasną błękitno-oką blondynkę z rumianém i uroczéj białości licem.

Tak to miłość lubi sprzeczności,—natura ludzka dziwną jest w tym względzie; inaczéj jednak rzecz się ma pomiędzy przyjaciołmi. Tych dusze jakby jedna podobnemi, ledwie nie temi samemi natchnione uczuciami, tych serca jednym ogniem płonące; oni tym samym wzrokiem zapatrują się na świat i życie; a jedność uczuć i zgodność usposobień stanowiąc harmonijny związek pomiędzy ich sercami, wiąże ich dusze nierozerwanym łańcuchem, który nigdy nie pęknie. A gdy los rozkruszy jedno ogniwo tego łańcucha, pewno już raz drugi żadna moc ziemska nie zdoła go powiązać, próżno łańcuch skowywać, próżno go łączyć; on w ogniu zahartowany raz drugi spoić się nie da, i drugi raz przyjaźni takiéj jak pierwsza, serce zawiedzione nie odda się.—Na drzewie przyjaźni raz tylko kwitnie owoc; drzewo miłości wydaje je zawsze; dopóki tylko promienna wiosna młodości ogrzewa je swém tchnieniem. Zaiste!—prawda, że i tu także pierwszy owoc jest najsłodszy, inne... o jakże cierpkie, mgłe, bogdajby nie kosztować ich więcéj!

Słowa te pisane łzami mojemi; ostatnie to wspomnienie szczęścia.

O przyjacielu, bracie mój, pocóż nas los rozdzielił, ażebym zawsze tęsknił i płakał po tobie!

Co to jest miłość braterska, co jest przyjaźń,—do jakich poświęceń ona prowadzi, jaką siłą wzmacnia słabe jestestwo, jakim zapałem ogrzewa dusze,—O! tego opisać niepodobna!

Ale słuchajcie, powiem wam:—gdybym krwią moją zapisać miał wszystkie karty mego życia; gdybym do ostatniéj chwili gorzkiemi łzami miał polewać samotne aż do grobu ścieszki, gdyby wszystkie nieszczęścia, cierpienia, bóle jakiem przeżył, jakie aż dotąd ser-

ce moje ranią, miał nanowo znosić, i milion razy jeszcze tyle przecierpieć ile przecierpiałem, wszystkie te boleści, smutki, łzy, nieopłaciłyby jeszcze ani jednéj takiéj chwili jak ta, kiedym mógł powiedzieć sobie: jest więc istota, co czuje jak ja, co mnie rozumie, i to jest mój brat—przyjaciel!..

Kolej nieszczęścia, czy wyrok przeznaczenia rozłączył nas.—Biada mi! nie wierzę już w szczęście, w miłość, przyjaźń, ideały!... utraciłem wiarę w przyszłość, nadzieję, pewność samego siebie; a jeszcze czuję żądze gorące młodości i pragnienienie niezgaszone jak Tantal pośród sadów roskoszy; i szukam jeszcze czegóś w koło siebie, pragnę—wołam...—Biada mi, daremniem szukał prawdy, poznałem w czém jest szczęście, ono nie jest marą, nie jest urojeniem;—czułem tchnienie gorące obwiewające mą duszę, widziałem dwóch aniołów miłości, przyjaźni, odsłoniły mi swoje lica, podały rękę do uścisku, i znikły.... a ja znowu sam jeden zostałem na pustyni świata, jak Farys pośród skał zimnych, skał, o które nie mam i siły rozbić to biedne serce moje!..

Lecz zkądże ta rozpacz? Została mi jeszcze rodzina, matka—anioł czułości i dobroci, święta opiekunka młodości mojéj. Ona nauczyła mnie żyć i życie znosić, bo czyliż ja jeden dźwigam ten krzyż żelazny, który mi tak ciąży; czyliż i ona nie wycierpiała wiele, nie zniosła strat tylu, ach! tylu, że i łez nie stało na ich opłakanie?—Zostały mi jeszcze siostry tkliwe i dobre, anioły miłości i poświęcenia.

O! zostanę z niemi, nie opuszczę ich nigdy, będę je kochał, będę jeszcze szczęśliwy!

Miłość rodziny jakże jest świętą, jakież ją uczucie zastąpi, chyba przyjaźń, chyba poświęcenia dla ludzkości, dla dobra bliźnich; bo miłość kobiety nigdy!... nigdy!... To jest tylko gorączka, szał, urojenie.

A więc miłość kobiety jest urojeniem?... Boże mój, Boże! nie karz mnie za to, nie karz miłością, któréj nie umiem pojąć godnie.

Ale wartże jestem kary, jakież są winy moje? Cierpiałem tyle, nikt mnie nie pojął, wyszydzili wszyscy, nazwali szaleńcem, waryatem, marzycielem, odludkiem. Szukałem pociechy, przytułku, współczucia na łonie rodziny, siostr, matki.... One pierwszy raz inaczéj

mówiły do mnie, zajrzały mi do duszy, zajrzały w serce, one w niém czytały wiele miłości, siłę poświęceń, zapału, wiele uczuć szlachetnych, skarby wiary, cnoty, litości i pokory; a to wszystko osłonione w jakąś żałobną czarną sukienkę smutku, rozpaczy, tęsknoty, z któréj koniecznie trzeba ją było rozebrać, ażeby pokazać na jaw światu wszystko. One pierwsze zrozumiały mnie, moje uczucia, pieśni żalu i tęsknoty,—one pierwsze nazwały mnie poetą! — U nich głos méj duszy najpierw znalazł odpowiednie echo i odbrzmiał współczuciem. A wtenczas ja uwierzyłem, wątpiąc aż dotąd nieraz niepojęty i wyszydzony uwierzyłem, że jestem poetą!—a kiedym odczytywał stronnice jednego z dzieł znakomitego autora naszego, pod tytułem „Poeta i świat.”— O! wtedy już byłem tego pewny.— Życie moje aż dotąd, zupełnie było podobne do życia Gustawa....

Lecz koniec.... cóż za koniec! mój Boże, autor zbłądził, to niepodobna, aby tak skończył poeta, samobójstwem prawie.—Nie, Gustaw żyje jeszcze, żyje! wierzcie mi, ja wam powiadam; tylko jego dusza po śmierci Maryi wstąpiła we mnie. Ja jestem tym Gustawem! Nie, ja jestem Werterem, jestem owym upiorem, co dla przykładu musi corocznie w dzień zaduszny powracać, i nanowo wbijać sztylet w swe serce, który raz wbił w dzikiém zaślepieniu rozpaczy.

Ha! to okropnie, jak mogli tak wielcy poeci, taki koniec kłaść ludziom, z duszą i sercem podobném, jakie mieli Werter, Gustaw! Nie, ja nigdy nie będę do nich podobnym, choćbym nawet jak Romeo miał żywy płakać nad trumną wszystkich moich nadziei, gdybym nawet moją..... miał widzieć tak zimną i bladą, w takim całunie śmierci, jak Julia w grobie.

O Szekspirze, bluźniercy mówią, żeś ty pisząc twego Romea szydził z miłości.... O tak, prawda! ani wątpię już teraz, śmierć, samobójstwo po utracie drogiéj ukochanéj istoty, jest tylko parodyą miłości! Przeżyć, oto jest kochać!

Cierpiałem wiele, nadzieja znowu uśmiechnęła się do mnie, jeszcze więc i dla mnie jest radość na ziemi?

Kocham! kocham!..... Boże mój, cóż to za uczucie! — Czy Ty chcesz mnie karać, żem niegdyś bluźnił przeciw temu uczuciu? do czego mnie doprowadzi miłość kobiety? ....

O matko moja! o siostry! nie lękajcie się, ja ani na chwilę nie ostygnę w miłości dla was. Czyliż to nowe uczucie może wyrugować z serca dawne z życiem poczęte, uczucie najświętsze po miłości Boga, ludzkości.

Kocham!... ach! odgadła mnie, pojęła, zrozumiała, i echem w duszy odbrzmiało mi słowo „kocham!" powtórzone drżącemi usty dziewicy. —

Ona nie była piękną,—i ja, który marzyłem o jakimś ideale, o jakiejś lilji posadzonéj gdzieś tam w śniegu na najwyższych gór wierzchołku, którą nie skaziło dotknienie wędrowca, opromienionéj zawsze jasném słońcem i kwitnącéj wszystkiemi barwy maju,—pokokochałem ją!... Pokochałem! bom odgadł w jéj sercu tyle uczucia, tyle miłości dla mnie, tyle wiary we mnie, że żaden klejnot z najświętszych uczuć skarbnicy nie zastąpiłby tego skarbu czułości, dobroci, poświęcenia, jakiem znalazł w jéj sercu.

Dotąd żyłem samą tylko teraźniejszością,—myśl o przyszłości, o szczęściu i życiu domowém rzadko mięszała mi moje poetyczne marzenia.—Od dnia, kiedy poznałem, że ją kocham, przyszłość otworzyła się dla mnie.

Los rozdzielił nas niedługo, a ja rzuciłem się na tę wielką drógę życia, szukając sposobów wyniesienia się, abym mógł stanąć przed nią i powiedzieć jéj: „teraz będziesz moją."

Porzuciłem matkę, siostry, rodzinę, ją,—aby gonić za szczęściem, zapragnąłem wielkości bogactw, sławy, aby u jéj nóg złożyć wszystko; cisnąłem się w otchłań świata,—i w kruchéj łodzi mojéj, żelaznéin wiosłem prąc się płynę przeciw falom. Uniknęż rozbicia, czy zginę między skałami? . . . .

. . . .

Szczęście, sława, nadzieje, miłość, wielkość, rozkosze.... a przy nich jakże blisko rozpacz, zgryzota.... To sen,—po nim boleśne zbudzenie.

Wzrok mój przywykły do światła i słońca w tych ciasnych murów zakresie widzi tylko cień, który drzewo moich pamiątek jak żałobny cyprys roztoczyło przedemną. O! weźcie mi te wspomnienia, które

aż dotąd leżą na dnie méj duszy, serce palą i dręczą, a może jeszcze będę szczęśliwym.

Ha, bluźnię daremnie, i znowu marzenia szczęścia!... O szaleńcze! już raz zbudź się z tego zachwytu, już raz przestań wierzyć w szczęście, kiedyś postradał wiarę w ludzi i w siebie.

Wierzyłem im i kochałem... biada mi!—pocóż było ogrzewać ich tchnieniem mojéj miłości,—aby jak żmije zapuścili żądło w serce? Im lepiéj było pełzać po tém bagnisku, pełzać jak robaki w brudnéj kałuży. Ja ich przebudziłem, podnieśli głowy, spojrzeli na mnie, naprzód z podziwieniem, potém z szyderstwem, z gniewem, żem im mówił o jakiémś inném przeznaczeniu człowieka, niż to, jakie oni mieli na myśli.

Zapragnąłem sławy, dzikie, szalone żądania; pragnienie, które przekląłem po sto razy, po milion razy.—O! bogdajbym się nigdy nierodził poetą! Lecz nie, błogosławię niebu, że mi wlało więcéj czucia niż innym ludziom, że mi otworzyło oczy, abym jaśniéj czytał prawdy dla innych ciemne lub zakryte, że mi wskazało cel do którego dążyć powinienem. Ale miłości, do czegóż mnie przywiodły twoje gorące pragnienia! pierś moja pali się niezgaszoném zarzewiem, gorączka trawi mnie i mózg wysusza,—a ja nie mam komu przelać połowy mego płomienia.—Kocham! a nie mogę powtórzyć dawnych zaklęć miłości, bo jakaż jest przyszłość moja? Cierpieć—oto jest dziś, cierpieć—to na jutro, i na zawsze! przyszłość moja tém jednném słowem objęta.

Dla niéj zapragnąłem sławy, bogactw, wywyższenia,—dziś pasując się z rozpaczą i boleścią, z wspomnieniami i teraźniejszością, jeszcze marzyłem o niéj, marzyłem o sławie i wielkości, aż powoli jéj obraz zciemniał na dnie méj duszy, zamroczony łzami, chociaż wiecznie żyje i żyć będzie w sercu, w pamięci;—tylko jakiś promień zdaleka błyszczał przedemną niedościgły i niepojęty, a ja wyciągałem ręce, aby pochwycić to światło ukochane, aby choć jedna iskierka upadła na moją głowę i oprominiła czoło, na którém tyle cierpień, tyle nieszczęść porysowało swoje ślady.

O młodości! jakież są twoje pragnienia! Szukasz przyjaźni, a dla kobiety zapominasz o niéj; posiadłszy miłość studzisz serce i kładziesz

lód na piersi, aby przestało kochać, bo miłość jest ci przeszkodą, bo sława teraz uśmiecha się do ciebie.—Wyciągasz ręce ku promieniejącéj się na twojém niebie gwiazdzie, a ona zagasa przed tobą, zanim ci drogę życia przejść pozwoli, i niezabłyśnie już nigdy; lub dopiéro kiedyś po długich latach letargu niepamięci, ktoś tam przypadkiem wymówi nieznajome imie, a gwiazda sławy zaświeci na twoim grobie, opromieni resztki zbutwiałéj trumny.

Oto jest sława! biada mi, nie chcę jéj więcéj.

O! co za życie, co za życie!—nie mam już pragnień, wszystkie żądze ostudziłem w méj piersi, minęła gorączka, szał, zaślepienie, chcę tylko spokojności, ciszy, zapomnienia. Ludzie mnie nie pojęli, wyszydzili najświętsze cele. Faryzeusze! zaglądali mi w serce, naplwali w nie swoją bezecną śliną, i dziś każą mi wierzyć w cnotę, wierzyć we wszystko, co było kłamstwem, kiedym prawdy daremnie szukał na świecie. Czy przekleństwo boskie od kolebki ciężyło nad moją głową? Powiedzcie mi, o! powiedzcie, jakie moje winy, jakie grzechy; godzienże jestem kary, jaką znoszę co dnia? Wydarliście mi wiarę moją,—w nic już, w nic nie wierzę. A przecież młodość moja mogłaby być piękną—pogodną, jeżeli nie szczęśliwą. Wszystkie powaby swoje rozwinęła przedemną; poznałem miłość, przyjaźń; kochałem i szalałem przez chwilę; lecz czarę rozkoszy do ust przytknąłem zaledwie, juz prysły złote marzenia, boskie ideały moje opuściły mnie, przyjaźń skończyła się żałobą, miłość smutném pożegnaniem: „bądź zdrowy!" marzenia sławy śmiechem szyderstwa lub politowania; myśli o szczęściu, wielkości i wywyższeniu się,—głośnym jękiem rozpaczy wołającego o chleb żebraka.—A wtenczas powiedziałem sobie: „ty chcesz bogactw!—patrz ten uboższy od ciebie, bo umiera z głodu!"—I przyszedł mi na myśl Ugolino, bo widziałem piekło, jakie Dante opisał, widziałem na ziemi własnemi oczyma, a nie mogłem nieść pomocy nieszczęśliwszym odemnie, bo byłem biednym także, bo w trudach i pracy zaledwie mogłem utrzymać to nędzne istnienie, które nie warto życiem nazywać.

I wtedy powiedziałem sobie, przeczytawszy Hamleta, słowami wielkiego wieszcza Albionu: „być, albo nie być!"

Szekspirze, dla ciebie było to zagadką, a ja powiedziałem sobie: „być!” i całą siłą zapragnąłem bytu; i znowu rzuciłem się na świat odmłodzony siłą poświęceń i zapału, znowu szukałem prawdy, i znalazłem ją nakoniec, kiedy już może bliski kres mojej podróży.

„Kochaj Boga i bliźniego!” Oto jest prawda objawiona; w téj miłości jest jedyne źródło pociech;—cnota tylko i prawdziwe poświęcenia, miłość Boga i ludzkości, zastąpić mogą to wszystko czegom próżno szukał, lub co postradałem.

Nie cierpię już i nie płaczę, a wspomnienia przeszłości nie cisną mnie więcéj jak wpierw boleśnie. —Odkąd poznałem tę prawdę, że tylko zaparcie się samego siebie, może otworzyć człowiekowi drogę do owego raju szczęścia, który nam Pan Bóg po trudach i męczarniach tego życia, w ich nagrodę z tamtéj strony grobu zgotował; staram się czynić ludziom dobrze dla nich samych nie dla mnie; i dziś mniéj może uważam na ich samolubstwo, bo czuję, że wpierw zbyt wiele żądałem od nich.

A więc za mną nieszczęśliwi, których krzyż życia zbyt ciśnie; wskazałem wam cel niemylny, drogę do szczęścia wiodącą.—Kochajcie i miłujcie się wspólnie, bo miłość bliźniego tylko zgotować wam może te pociechy i słodycze, których wasz świat łudząc ponętną czarą rozkoszy pewno wam nie udzieli.

*
* *

Tu się skończył dziennik nieszczęśliwego. Znalazłem jeszcze drugie pismo czarną pieczęcią zamknięte, na którém słowa jego ręką napisane dały mi poznać, że tam zawierają się owoce prac jego.— Jednakże smutna uwaga, iż w kilka lat dopiéro po śmierci mają być ogłoszone, nie pozwala mi teraz tego uczynić; może ktoś inny wypełni wolę nieszczęśliwego; — a wy czytać będziecie. — O! gdyby jak najprędzéj!...

Teodozjusz Krzywicki.

KRONIKA PISMIENNICZA POLSKA.

Grammatyka Polska, ułożona przez Teodozego Sierocińskiego, Professora języka polskiego i literatury w Instytucie Alexandryńskim. Część 2ga. Z załączeniem nauki o postaciach retorycznych, o wierszowaniu, i o stylu. Warszawa, 1847, str. 160 i 166 w 8ce.

Drugie to już dzieło p. Sierocińskiego wydane zostało w takim sposobie, że dodatki objętością i wartością swoją przewyższają część główną dzieła. Pierwszém była *Pedagogika*, drugiém jest „*Grammatyka Polska*, (Część 2ga), z załączeniem nauki o postaciach retorycznych, o wierszowaniu i o stylu.” To ostatnie właściwie jest *teką nauczycielską*, zawierającą notatki używane do wykładu lekcyj języka polskiego w kilku oddzielnych klassach.*) Znajdziesz tu bowiem oprócz rzeczy w tytule wymienionych, rozmaite wypisy z prozaików i poetów polskich, przeszło połowę książki zajmujące, tudzież „*Spis zdań na ćwiczenia domowe dla czterech klass niższych*” (w liczbie 108, str. 153—160); a wszystko to, jak zwyczajnie w tece, bez żadnego związku, jedno obok drugiego położone.

W przeglądzie książki, tyle rozmaitych przedmiotów zawierającéj, głównie zajmować nas będzie Grammatyka, która chociaż tylko jest czwartą częścią dzieła, jednak podług tytułu, ma istotę pracy autora stanowić.

Niektóre miejsca książki będącéj w mowie, okazują postęp autora do coraz jaśniejszego o rzeczach wyobrażenia. Takiém jest między innemi rozdział o wierszowaniu (str. 83). Jest to wyznanie wiary autora we względzie miarowego wiersza, którego takty czyli stopy w polskim języku, oparte są na przycisku głosowym (accentus), nie zaś na długości i krótkości zgłosek (quantitas syllabarum). Mówi bowiem na początku przywiedzionego rozdziału: „Wiersze w języku naszym są

*) Książka ta jednak nie jest do użytku szkół przeznaczona.

albo zgłoskowe, albo miarowe, w których skład wchodzą miary mające pewną liczbę zgłosek *zwanych* krótkiemi lub długiemi." Co zaś przez długie lub krótkie rozumieć należy, objaśnia następnie: „*W zgłoskach długich zachodzi mocniejsze natężenie głosu albo raczéj tonu, niżeli w krótkich.*"—Dawniéj zaś w dziełku: „Pierwsze zasady Grammatyki Polskiéj (1838 r.) w Nauce X, str. 71, jeszcze p. Sierociński mówił tylko o przeciąganiu lub skracaniu zgłosek, nie wspominając bynajmniéj o *mocniejszém natężeniu głosu* czyli przycisku. Co większa, na str. 95 tegoż dziełka utrzymuje: „że chcąc pisać *Julija*, *Austryja*, wypadałoby w tych wyrazach przedostatnią przedłużać jak w *nawija*, *niczyja*.*) Przez co wyraźnie podzielał zdanie Nowaczyńskiego, *(O Pro-*

*) Jest to zwykle powtarzany dowód od nieprzyjaciół takiego sposobu pisania *Julija*, *Austryja* i t. p., lecz bezzasadny. Dla czegóżby albowiem w wyrazach zakończonych na *ia*, *ya*, dodanie *j*, pociągać miało za sobą *przeniesienie przycisku*, czyli podług ich wyrażenia, *przeciąganie* samogłosek *i*, *y*? Oto chyba jedynie na mocy zasad iloczasu łacińskiego: w którym ponieważ *samogłoska przed samogłoską* (vocalis ante vocalem) jest krótka, zatém w zgłoskach *ia*, *ya*, samogłoski *i*, *y* powinnyby być krótkie. Że zaś podług tychże zasad *j* jest spółgłoską zadwójną i umieszczona po samogłosce, czyni *następstwo mocne* (positio firma); z tego więc chyba tylko powodu pisząc *Julija* wypadałoby mówić *Julīja*.

Lecz w polskim języku długość syllab ze zbiegu spółgłosek wynikająca, zgoła nie ma wpływu na zmianę miejsca przycisku. Tak np. w wyrazach *prz-e-strz-e-ni* (od przestrzeń), *wł-ó-czni-a-mi* (od włócznia) i t. p. pomimo wielu spółgłosek przy trzeciéj od końca samogłosce, druga od końca czyli przedostatnia, jednę tylko mająca po sobie spółgłoskę wymawia się z przyciskiem. Przeciwnie iloczas, to jest długość lub krótkość czasu łożonego na wymówienie zgłosek w polskim języku zależy jedynie od przycisku głosowego, który właśnie jest zasadą wiersza miarowego w nowożytnéj poezyi, a mianowicie polskiéj. Dowód przeto, o którym mówimy, jest tylko naciąganiem zasad powziętych z grammatyki obcych języków, lecz zgoła nie przypadających do polskiéj. Niektórzy Grammatycy chcieliby każde prawie prawidło mieć podwójnie wyłożone raz w zastosowaniu do wyrazów swojskich, a drugi raz do obcych. „Pisz, mówią oni, obce wyrazy kończąc na *ia*, *ya*, a polskie na *ija*, *yja*, czwarty przypadek w rzeczo-

zodyi i harmonii języka polskiego r. 1791), który chciał do budowy wiersza polskiego wprowadzić miary oparte na zasadach iloczasu łacińskiego. Co się tak niedorzecznėm zdawało późniejszym badaczom języka krajowego, iż Kopczyński (w Przyp. na klas. III), i Potocki (w rozpr. o jęz. pols.) przyszli do wniosku o niepodobieństwie miarowéj poezyi w polskim języku.

Wtymże rozdziale przedstawia się inny szczegół dowodzący w naszym autorze jaśniejszego o rzeczy pojęcia. Na str. 85 mówi: „Po wyrazach dwuzgłoskowych jednozgłoskowe zwykle są krótkie, np. *wielka noc.* Lecz w wyrazach *złożonych*, zgłoska przedostatnia zawsze jest długa np. *Wielkanoc* i t. d." Nie wchodząc w gruntowność tego prawidła, ten tylko z niego najoczywistszy możemy wyprowadzić wniosek, że p. Sierociński zgodnie z przyjętém powszechnie wyobrażeniem, wyrazy *wielkanoc* łącznie napisane (wielkanóc) poczytuje za jeden wyraz złożony; gdy zaś je pisze rozdzielnie, liczy za dwa.

wnikach obcych tegoż zakończenia kończ na *ią*, *yą*, a w polskich na *iją*, *yją*" i t. p. Czegóż chcą, tak dublując prawidła grammatyczne? Oto aby każdy Polak wprzód się nauczył wszystkich obcych języków, z których przyswojone zostały wyrazy do polskiego; i przez to był w stanie odróżniać wyrazy swojskie od obcych; a potém dopiéro przystępował do uczenia się grammatyki własnego języka. Bez tego warunku martwe będą dla ogółu czytających po polsku wszystkie prawidła do obcych wyrazów ściągające się. Lud w ogólności wymawia *Marya*, bez względu na to, czy kto pisze Marya czy Maryja; bo nie wie czy to wyraz polski, czy obcy. Wiele osób płci pięknéj, wyższe ukształcenie posiadających, i umiejących gruntownie po kilka języków obcych nowożytnych, wyjąwszy umarły łaciński, chętniéj mówi *wizyta*, *machina*, *grammatyka* i t. p. chociaż się ciągle w grammatyce powtarza, że w przytoczonych wyrazach, jako obcych przycisk zachowuje się na trzeciéj zgłosce od końca: *wizyta*, *machina*, *grammatyka* i t. p. Czas przeto już, tam przynajmniéj gdzie można, oczyścić grammatykę swego języka, od martwych i bezskutecznych prawideł opartych na cudzoziemczyznie, aby tym sposobem nie wymagać od całéj massy czytających i mówiących po polsku, iżby dla poznania własnéj grammatyki, uczono się innych języków, a mianowicie łacińskiego.

W pierwszéj jednak części swojéj Grammytyki (§ 27, str. 48), wyraz *Boże Narodzenie* malujący takież same wyobrażenie jak *Wielkanoc*, pisząc rozdzielnie, i kładąc w obu jego częściach początkowe litery duże , przyjmował za jeden złożony! I gdy recenzent (Bibliot. Warsz. z r. 1846, T. I. str. 518) zwrócił na to uwagę, autor odpowiadając (Bibl. Warsz. z r. 1846, T. III. str. 87) upornie bronił swojego twierdzenia; teraz jednak powraca na właściwą drogę.

Podobnież rzecz się ma z liczebnikami *pięḑziesięciu*, *sześdziesięciu* i t. p. — W pierwszéj części Grammatyki (str. 54) p. Sierociński za główną formę 2go przypadku tych wyrazów położył *pięciudziesiąt*, *sześciudziesiąt*, i zaledwie w przypisku dodał: „mówi się jednak *pięćdziesięciu.*" W rozbiorze uczyniono uwagę (str. 518), że za główną formę należało przyjąć *pięḑziesięciu*, zaniedbując przestarzałéj formy *pięciudziesiąt*. Na co odpowiadając autor, taka się zapędził, iż postanowił zniszczyć swój przypisek o używanéj powszechnie formie *pięḑziesięciu*, *nie zmieniając ani jednéj litery* (str. 87) w prawidle nauczającém mówić *pięciudziesiąt*, *pięciądziesiąt*. A jednak w części 2giéj, w uwadze I, na str. 47, mówi: „Zakończenie rzeczowne, albo raczéj przysłówkowe na *ąt* w przypadku 2gim, 3, 6 i 7mym prawie *zarzucone*, *a na jego miejsce weszło zykończenie przymiotne na u*, np. *pięćdziesięciu* *) żołnierzy, zamiast *pięciudziesiąt*.

Czas *zaprzeszły* w części pierwszéj na str. 71 tak jest opisany: „Czas zaprzeszły służy do oznaczenia, iż co się stało w czasie da-

*) Autor postanowiwszy raz na zawsze uznawać za błąd, nieuctwo, niewiadomość, to wszystko cokolwiek nie jest zastosowane do jego *widzimi się*, poczytuje także za błąd pisanie zgodne z wymawianiem i zasadami tworzenia wyrazów pochodnych i złożonych *pięḑziesiąt*, *pięḑziesięciu*, zamiast *pięćdziesiąt*, *pięćdziesięciu*. Zachowanie zgłoski *ć* w wyrazie pięćdziesiąt było ważne wtedy, gdy drugi przypadek mówiono *pięciudziesiąt*. Lecz gdy ten liczebnik przybrawszy postać wyrazu złożonego, ma teraz drugi przypadek *pięḑziesięciu*; przeto wyrzutnia głoski syczacéj *ć* przed następującą sycząca *dź*, zgodna z zasadami właściwemi językowi polskiemu (obacz Mrozińskiego Pier. Zas. Gram. jęz. polskiego str. 36) nie szkodząc bynajmniéj foremności odmian, przyczynia się do ogłady i harmonii dźwięków w skład wyrazu *pięḑziesiąt* wchodzących.

wniéj już upłynionym.” W przytoczonéj téż wyżéj „Odpowiedzi” p. Sierociński usiłuje naciąganém rozumowaniem dowieść, że ta definicya jest dobra, i że czas zaprzeszły jest w polskim języku. W drugiéj jednak części, czując słuszność uwag recenzenzenta, autor tak się na str. 50 poprawia: „Gdy w dwóch zdaniach z sobą połączonych, wydają się w przeszłości dwa *pojawy* (sic) różnoczasowe, tedy nawet dawniejsza przeszłość wyraża się zwykle przez czas przeszły, używany zamiast zaprzeszłego, np. *Jużem wyjechał z domu gdy się palić zaczęło*, zamiast *jużem wyjechał był*.” Szkoda tylko, że tę poprawkę psuje dodatkiem: „Nie można jednak powiedzieć, aby i w trybie oznajmującym nie używał się *niekiedy* czas zaprzeszły, np. *Cokolwiek mówimy*, *było mówione*.” Bo tu przytoczony przykład zgoła nie dowodzi, aby się w języku polskim *niekiedy* używał czas zaprzeszły. W zdaniu bowiem „*Cokolwiek mówimy*” nie wydaje się *pojaw* (jak się autor wyraża) w przeszłości; gdyż *mówimy* jest czasem teraźniejszym; zatém zdanie *było mówione* nie może mieć znaczenia czasu *zaprzeszłego*. Nie ma także i formy tego czasu. Wszakże autor w pierwszéj części grammatyki na str. 77 taką podaje formę czasu zaprzeszłego słowa być: *Byłem był*, *byłeś był*, *był był* i t. d. Na osobę więc trzecią w rodzaju nijakim wypadnie forma *było było*. Wyrażenie przeto „*było mówione*” taką miałoby formę czasu zaprzeszłego: „*było było mówione*.” Gdy więc p. Sierociński nie znalazł przykładu na swoje *niekiedy*, zatém godzi się uznać za słuszny wniosek recenzenta (str. 522) wsparty zdaniem Kopczyńskiego, że w języku polskim nie masz czasu zaprzeszłego.

Z tych i tym podobnych szczegółów okazuje się, że p. Sierociński pisał swoją „*Odpowiedź*” na rozbiór pierwszéj części gramatyki jedynie dla ukojenia rozdrażnionéj miłości własnéj, sam w to nie wierząc, czego dowodził; i dla tego popełnił wiele niestosowności *); że

*) Omijając inne względy zwracamy tylko uwagę na sposób, jakiego autor używa w swoich odpowiedziach, a który na tém polega, iż stara się zwykle co innego zbijać, aniżeli się mu zarzuca, i przytém wszędzie upatruje w recenzyi wady językowe i stylu, przypisując recenzentom dążenie do zepsucia języka przez narzucanie wyrazów i wyrażeń, o których się im ani śniło; siebie zaś przedstawić usiluje, jako tarczę przeciw zepsuciu. Dla dowodu przywiedziemy choć ma-

nareszcie ochłonąwszy nieco, uznał za rzecz przyzwoitą uledz mocy przekonywających dowodów. Wielka to jest dla recenzenta nagroda za cierpliwe znoszenie podobnego pisma jak „*Odpowiedź*." Cel bowiem recenzyi osiągnięty. Uwagi w niéj zawarte już pożądany owoc wydają. Nakoniec recenzyja nie musiała być tak niejasno napisana, jak ją p. *Sierociński* przez torturowe anatomizowanie każdego prawie wyrażenia pod względem stylu, chciał okazać: gdy tak łatwo przez autora grammatyki pojętą i zrozumianą została.

Myliłby sie jednak, ktoby wnosząc z tego co się dotąd powiedziało sądził, że *druga* część grammatyki p. T. Sierocińskiego, wolną jest od wad w *pierwszéj* części rażących czytelnika. Temi ważnemi uchybieniami są niedokładność, rozwlekłość, zagmatwanie i sprzeczność, które w dalszym wykażemy rozbiorze. (*D. c. n.*)

NOWINY.

Z opisu geognostycznego Polski przez Puscha, wniosłem, że w Tarnoskale musi być przy ołowiu znaczny procent srebra. Będąc w tém miejscu dowiedziałem się od rządcy dóbr pomienionych, że o milę ztamtąd we wsi Gumienice pod miastem Pierzchnica (na południe wschód Kielc) są ślady kopalni ołowiu — i że podanie miejscowe mówi o dobywaném srebrze, a w skarbcu dóbr chowają się sprzęty stołowe z niego wyrobione. Byłby to więc drugi Olkusz, którego okoliczności nie pozwoliły mi zwiedzić, ani położenie osobiste sprawdzić dokładność wieści, tém bardziéj że wieś Gumienice w dzierżawie zostaje. S.

łoznaczący przykład. W rozbiorze części pierwszéj grammatyki, recenzent chcąc okazać, że autor nie jest tak ścisłym i dokładnym, jakby tego wykład naukowy wymagał; czyni uwagę, że nie objaśniwszy wprzódy co rozumie przez liczbę podwójną, do niéj się w wytłómaczeniu form wyrazowych odwołuje. Autor Grammatyki odpowiada, iż dla tego nie chciał mówić o liczbie podwójnéj, iż go znudziło pismo jakiegoś urzędnika banku, i zaraz dodaje: „że recenzent sam się pomylił pisząc *oczami* zamiast *oczyma*" Recenzent nie utrzymuje, iżby teraz należało zachowywać formę liczby podwójnéj w całéj rozciągłości i pisać oczyma, rękoma i t. p., zamiast *oczami*, *rękami*. Nie jest więc z sobą w sprzeczności i nie popełnił omyłki.—Ale znalazłszy na str. 36 części pierwszéj Grammatyki, wyrazy: „Nareszcie używa się jeszcze w niektórych rzeczownikach *liczba podwójna*: rękoma, oczyma" słuszną zrobił uwagę, że opisując liczbę pojedynczą i mnogą, należało także wspomnieć, co się rozumie przez liczbę podwójną, jeżeli jéj formę w obecnym języku autor w niektórych wyrazach postrzegł.